NUMER 17. DNIA 27-go KWIETNIA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

WŁADYSŁAW ORKAN.

PŁANETY.

I.

Zawiedźmy ciała nasze na spoczynek,
Niech się zapomną snem po dziennym trudzie,
A my chodźmy — nie jako stąpający ludzie,
Ale jako dwie dusze umarłych boginek,

Jako dwie po tej ziemi błądzące płanety —
Chodźmy na Pustkę... Niechaj się rozpocznie
Byt nasz, niech gwiazdy mówią nam wyrocznie
Śmierci... Czemu drżysz?... Nie ty umrzesz, nie ty!

Tam, na pościeli umrze twoje ciało
I moje, lecz my długo będziem żyli —
Zgaśniem, aż tu na ziemi będzie dniało...

Do świtu jeszcze wiek — daleka droga —
Patrz, szlak gwiaździsty ku ziemi się chyli,
Idąc za nim — możemy zajść do tronu Boga.

II.

Królestwo nasze wnet się nam rozjaśni —
Księżyc wychodzi... Nim się wyżej wzniesie,
Bądźmy cieniami w roztraconym lesie,
Albo ku drzewom chodźmy — słuchać baśni.

Cóż, kiedy cisze opowieści tłumią.
Nieraz przedziwnie gwarzą stare drzewa;
Wiatr im z daleka powieści przywiewa,
A one zaraz pojmią i odszumią.

Jaki tu spokój... Śpią cicho jałowce,
Jak na szałasach kędzierzawe owce —
Smutek przechodzi po pustych ugorach...

— Marzyłaś kiedy o takich wieczorach?
— We śnie... — Zaiste, sny duszom łaskawsze...
— Myślę: gdyby tak świat usnął na zawsze...

Biurokracja.

Przez czterdzieści długich, krwawych lat męczy się, niszczy, jałowieje i marnuje Galicjanin, — aby nareszcie w czterdziestym i pierwszym, — dostać emeryturę. Emerytura! Brzmi ona — jak najrozkoszniejsza symfonja, jak raj obiecany za górami i rzekami zapomnienia, — w ustach młodzieńca, puszczającego się zaledwie w życie z wiosną lat i z wiosną nadziei... Już dzieci, wyrastające z sukienek katechizmuje się na temat rang, złotych kołnierzy i rozetek na galonach... I tak płynie istnienie ludzkie od zarania do trumny w mundurze, ciasne, przygniecione, obciśnięte w szablon, drewniane, okradzione z poezji i swobody. Z uniformu szkolnego wchodzi się w wojskowy, z wojskowego w urzędniczy, z urzędniczego kładą do wieczystej domowiny i na pomnikach grobowych ryją: c. k. Nawet na cmentarzach owego c. k. darować nie chcą — nad ciałami... upaństwowionych trupów... Stała posada! stała posada!.... oto jedyna ideowość, jedyna mądrość, alkoran bytu... Człowiek bez stałej posady jest w Galicji przeważnie parjasem społecznym, plewą na bok strącaną i wykreśloną z poważnej rachuby. Może ten człowiek mieć pierś rozpaloną i wzniesioną najświetniejszemi pragnieniami, może mieć serce gorące i umysł wielki, może być wybitnym, ale zawsze będzie kaleką, włóczęgą — bez stałej posady... Mózg, rozum i oczy Galicjanina — w stałej posadzie... W tym kraju kancelista, czy adjunkt — większe i poważniejsze ma ostrogi od działacza, pisarza, od każdego, co myśli nie pożycza i nie chce być przykrojonym na miarę krawiecką... Porządny, — to synonim czapki z bączkiem — reszta to obieżysasy, pędziwiatry, stworzenia z dnia na dzień... Jedną nużącą, prochowatą drogą wędrują prawie wszyscy: do jarzma służbowego. Program życiowy przedstawia się prosto: pójdziesz do urzędu, zostaniesz z czasem radcą, — o święty Boże! i nadradcą, — figurą znaczną..... Przez czterdzieści lat będziesz deptał te same progi w tym samym czasie, wysiadywał te same krzesła, mnożył makulaturę w bardzo szczególnym stylu, ze spokojem drewnianego aparatu..... Dusza twoja, gdyby się przeglądnęła w satyrycznem zwierciedle Teofrasta, będzie dziś, za dziesięć, dwadzieścia lat i nawet przy zgonie niezmienioną. Spokojne, regularne, bez wstrząśnień istnienie, nie podrywające nerwów, — zaoszczędzające szarpania się, katarów i gorączek... Na prowincji jesteś dynastą: pan sędzia, pan komisarz, pan profesor!... Dokąd prowadzi to nieszczęsne i wywrotne maniactwo, zadające ważny i poważny cios rozwojowi społeczeństwa?... Po wydziedziczeniu politycznem szedł Polak chętnie w urzędniki. Już poufny ajent Metternicha i jego informator, bocheński krajshauptman Baum zauważył, że jedną z najcięższych czynności przy utworzeniu Kongresówki i Rzeczyp. Krakowskiej było pytanie, co zrobić z biurokracją Księstwa Warszawskiego, której ogromną ilość potworzył Napoleon dla zjednania sobie stronników... Od czasów Gołuchowskiego i pozbycia się, dzięki jego żelaznej konsekwencji, czeskiej i niemieckiej szarańczy biurokratycznej,— wciskał się cały prąd społeczny w to świeże, niezajęte pole, szukając na niem podstaw materjalnego oparcia. Na miejsce czeskich Precliczków i niemieckich Hanswurstów stanęły w kraju rdzennie polskim nasze żywioły — niewątpliwie nowe strażnice narodowego bytu.

Powstał typ swojskiego podatkowca, sędziego. nauczyciela itd., w austrjackim pirogu i przy szpadzie... Z czasem biurokracja w zachodnich prowincjach, szczególniej niemieckich, zmodernizowała się — odskoczyła od modelu Bachowskiego, — wzięła w siebie powietrze i oddech liberalniejszy, rozumniejszy... Hierarchiczność została w niej i zostać musiała, — jako regulator administracyjny, nie rygor wojskowy, — jako siła porządkująca czynności zawodowe, nie forma bezdusznej, nadętej supremacji. Wszyscy pracują razem, koleżeńsko, — równi z równymi, nie poddani i władcy. W naszej biurokracji tkwi jeszcze nieszczęsny system feudalnych pojęć, — nie umiejących często uszanować „ja" ludzkiego — i patrzący na świat przez szkiełka wysokości rangi swojej... Jedna gwiazdka więcej i ztąd tytuł do deptania

mniejszej ilości dynstynkcyj... Ależ ludzie mają serce, nerwy, duszę i żywe ciało! Ależ ludzie mają ambicje, które trzeba podniecać, — nie gasić! Nie wolno dążyć do wystudzenia złożonych w człowieku przez naturę skarbów, inaczej zamienia się go w kloc drzewa, w aparat zarabiający na chleb, — w czynnik mechaniczny... Są przełożeni, którzy od pewnej rangi podwładnym rękę podają — a zawsze głębokość ukłonów do szczebli w hierarchji stosują... Mnóstwo rodzi się śmieszności, — płytkości w tej atmosferze, mającej liczmany w tytułach i rangach... Człowiek sam jest pyłkiem, — cała dążność, całe rozumowanie idzie pod szary strychulec... Tam, gdzie kierownik, szef, jest głową jasną, europejską, — nie koszarową — zmienia się zaraz postać rzeczy; wspólna orka idzie łatwiej, poczucie obowiązku wzmaga się, — każdy robi w swojem gnieździe. Trzeba wydać jeden zdrowy i konieczny apel: uszanujcie panowie u góry — dusze ludzkie, — nie zapominajcie, że są władze nadane przez państwo i Boga, — a te ostatnie o wiele potężniejsze... Bóg tchnął w człowieka jego wartość osobistą, którą należy otoczyć opieką, — a nie ścierać jej ze względu na martwe formy i dystynkcje na kołnierzach... Trochę towarzyskości, trochę ludzkości, uczciwości obywatelskiej, a nadewszystko pamięci, że dłonie do siebie wyciągnięte, spotkać się mogą, — ale ambicje splute, — rodzą ferment i gorycz. Lawina ludzka wali się u nas do urzędów, — nie mając zajęcia gdzieindziej, — w kraju pozbawionym przemysłu, handlu i inicjatywy. Dość powiedzieć, że w czynnej służbie pozostaje 10.142 ludzi, na emeryturze 2800 osób, — a jeżeli do tego doliczy się funkcjonarjuszy autonomicznych i prywatnych, — to 18000 przynajmniej ciągnie taczkę biurową w kraju o siedmiomilionowej ludności, — wśród której jest ogromnie mały procent wychowanków szkół średnich i uniwersytetów. Cała prawie zatem inteligencja zużywa się w zawodzie, o którym ironicznie powiedziano, — że z głodu umierać nie daje, — ale i żyć także nie pozwala... Nędza urzędnicza przechodzi wszelkie wyobrażenie wobec powiększających się wymagań kulturalnych i wymagań otoczenia... Cywilizacja, — to rozniecanie potrzeb, jak powiedział profesor z Montpellier, Gide... Tak, wznieca się potrzeby, ubiera ludzi w tytulaturę, — a w zamian daje im się głód i desperackie ograniczenie. W ten sposób mnoży się zastępy niezadowolonych, tysiące jednostek z wystudzoną rozkoszą życiową, — cienie ludzkie, z zamilkłym na ustach po długiej walce buntem. Gdy się który za siebie oglądnie i w chwilach refleksji spojrzy zimnej przeszłości w oczy, widzi połamane własne skrzydła, w prochu porywy, w pożółkłych aktach poezję, — w strętwieniu długie życie, a na końcu ruin — filisterstwo i codzienną powszedniość. A jednakże ten stan urzędniczy jest bardzo potrzebny, ma wielu godnych przedstawicieli — a czasem ludzi pierwszorzędnych, — o szerokich poglądach i duszy niezardzewiałej... Z drugiej strony nie każdy — może być orłem i na roli małej mrówki poprzestać musi... Chodzi o to tylko, aby „ja“ jednostek uszanowano i wyrzucono koszarowe rupiecie w postępowaniu, przekształcające człowieka w aparat; chodzi o to, aby w Galicji raz na zawsze upadło mniemanie, że tu człowiek rodzi się urzędnikiem, — a wyjątkowo tylko ma inne przeznaczenie... W zaborze naszym wyrobiło się z a m i ł o w a n i e do biurokratyzmu, wyłoniła się cała domowa pedagogja, przeszczepiająca w dziecko poczucie do rang, pedagogja nieszczęsna, która pomnaża liczne szeregi wykolejonych. Ta sama pedagogja zaciężyła ołowiem nad ewolucją społeczeństwa, powstrzymywała jego rozwój i najszlachetniejsze nieraz popędy, zamykała oczy na najświętsze obowiązki narodowe i zrodziła galicyjską ospę strachajłowstwa i zginania się w kabłąk tam, — gdzie tego ani państwo, ani kierujące czynniki nie żądały. Popadliśmy przez zbiurokratyzowanie w odmęt apatji, — w grobowość, — w jakieś sztuczne znarkotyzowanie, po którem gruntowne przebudzenie i ocknienie będzie arcyprzykrem. Niszczy się ogromną moc materjału ludzkiego z niesłychanem marnotrawstwem, — dla warjackich fikcji owego pewnego chleba... Pogrąża się społeczeństwo w wygodnym kwietyzmie i szarzyźnie, nie każe mu się ruszać i próbować nawet sił do lotu... Sieje się naokół filisterstwo, banalność — i ciasnotę. Upadek narodowego poczucia, obniżenie poziomu kulturalnego, ospałość kraju — ma za jedno z przyczynowych ogniw: biurokratyzację.

Kto Galicji dobrze życzy, musi pracować nad odbiurokratyzowaniem społeczeństwa, jego pojęć moralnych i dążności życiowych; kto sobie dobrze życzy, nie powinien zapominać, że zabijać własnego ducha, znaczy zabijać ducha narodu... Ręce związane, indwidualność przeno-

szona z miejsca na miejsce, — pobyt w kieracie, gdzie codziennie przez lata te same furczą koła, — musi wpłynąć na ścieśnienie widnokręgu umysłowego i zaciemnić go zupełnie. Niech każda samodzielność idzie swojemi drogami, niech raczej szybuje po szerokiem powietrzu, choćby spaść miała i zniszczyć się, niż ma abdykować u progu życia, — dla pogodzenia się z przekonaniami, które w bezkrytycznych, filisterskich panują masach. Dom, szkoła, dziennikarstwo, działać powinny przeciw spaczonym pojęciom, przeciw smutnym ideałom, na początku których jest „pewny chleb“ — a na końcu hofratostwo... na wysiedziałem przez czterdzieści lat krześle... Trochę więcej odgwożdżenia się od ziemi, — a potem lotu w innych kierunkach dla pokrzepienia i podniesienia narodowego organizmu, aby w tym kraju nie same gęsie pióra skrzypiały na urzędowych blankietach, — ale dźwigały się inne motory, nadające trwałość i pewność rozwojowi społecznemu. Biurokratyzm zabija inicyatywę, — bez inicyatywy świeżej, postępowej ginie naród, jak roślina bez wody i słońca... *Ernest Luniński.*

Kolonja polska w Azji.

Przechodzę sam środek Galaty, tej nieustającej giełdy groszowych interesów, otoczony gromadą przekupniów. Na giełdzie widocznie dziś usposobienie zniżkowe; w krótkim czasie orjentuję się, że za dziesięć centów mógłbym stać się panem czterech pudełek zapałek woskowych, dziesięciu pierników i pary pończoch! Za koronę mogę kupić trzewiki i dostać w dodatku promesę na najbliższe ciągnienie. — Ale na szczęście wszystkie moje potrzeby na razie zaspokojone, podnoszę więc głowę, co w mimice tureckiej znaczy: „nie chcę“ i idę dalej, ale niezbyt długo, bo mnie chwyta za nogę „lustradżi“ t. j. czyściciel butów. Lustradżich jest w Konstantynopolu kilka tysięcy. Rekrutują się oni z wszystkich narodowości, z turków, greków, bułgarów, żydów etc, etc., sadowią się na wązkich trotuarach, pukając co chwila szczotkami dla zwabienia przechodniów. „Moussiou! Kyric! effendim“ wołają za sobą, jeśli masz tylko jakiś cień pyłu na trzewikach. — Przed przekupniem można się schronić, przed lustradżim nigdy, jednemu odmówisz, wpadniesz na drugiego, trzeciego i dziesiątego, którzy ci równie natarczywie ofiarowuje swoje, jak ekonomiści nazywają, „świadczenie osobiste“ — znajdą cię wszędzie: w kawiarni, na statku, a nawet w wagonie. — Otóż gdy, w ten sposób uwięziony, stoję na ulicy, spostrzegam p. Wrzostka, dobrze mi znanego kolonistę z Adampola, jak niesie parę funtów masła w koszyku, dla sprzedania go na Perze, jest więc na tutejsze stosunki handlarzem *en gros*. — Dzień dobry panu! a co tam słychać u was na czifliku *)? A — coby miało być słychać? — Gości dużo macie? A — jest tam parę, ale już wyjechali. — No, a jaka tam droga teraz do was? — Miejscami trochę błoto, ale niezgorsza. Wybrałem się z domu z zamiarem wyjechania do Bujukdere **), spostkawszy p. Wrzostka, zmieniłem projekt i postanowiłem jechać do Adampola.

Była godzina druga po turecku ***) a więc około wpół do dziesiątej po europejsku, ponieważ był lipiec; miałem zaledwie parę minut czasu do odejścia statku. Przebiegłem most prowadzący z Galaty do Stambułu z szybkością kłusaka i wpadłem na statek, nie zważając na krzyki: „antika!

*) Cziflik — folwark po turecku.

**) Przedmieście Konstantynopola położone o 3 mile od miasta.

***) Turcy liczą dzień od zachodu do zachodu słońca, mają więc godziny odmienne — o zachodzie słońca jest u nich 12-ta godzina.

antika“! któremi mnie chciał zwabić handlarz łańcuszków aluminiowych.

Nie będę wspominał o cudach Bosforu, bo te opisywały tysiąckrotnie pióra lepsze od mojego, ale jako zawodowy pesymista uronię łzę nad wieku naszego tyranją pary i węgla, tyranją niedozwalającą rozkoszować się pięknem w niezmąconym spokoju. — Oko chce spocząć na białym minarecie meczetu sułtanki Walide, a tu słup czarnego dymu prezentuje się nieproszony, — odwracasz głowę ku wieży galackiej; zasłania ją para, buchająca z kotła — zamykasz oczy i zadowoliłbyś się szeptem fal lub szmerem rojnego miasta; przeraźliwy pisk świstawki i ryk różnych sygnałów i tej przyjemności cię pozbawia. Szczęśliwi turyści żyli przed Wattem i przed Stefensonem.

Okręcik, na którym jadę, ma charakter czysto turecki, jedzie nadzwyczaj wolno, przewożąc turystów od brzegu do brzegu.

Po takich dwugodzinnych zygzakach po Bosforze stajemy nareszcie w Bejkos. Jest to dosyć schludne, jak na wschodnie stosunki miasteczko tureckie. — Rzecz dziwna, muzułmańskie dzielnice są zwykle czyściejsze od chrześcjańskich. — Oglądam się za jakim przyrządem do lokomocji — o powozie mowy niema, te znane są tylko w Konstantynopolu. — Tutaj można dostać tylko tak zwaną „arabę“. Araba jest to wózek z daszkiem, przypominający kształtem karawan. O zgodzie ani myśleć — żaden „arabadżi“ (furman) nie chce słyszeć o wyprawie do Adampola. Nie dziwię się; do odbycia tej przejażdżki po turecko-polskiej drodze potrzeba innej, bo mazurskiej fantazji. — Niema rady, trzeba iść piechotą, gdyż koni pod wierzch także dostać nie można. — Biorę więc przewodnika i dalej w drogę.

Z początku wśród cienistych szpalerów sułtańskich ogrodów idzie się wcale ochoczo, ale potem, gdy naga ścieżka zaczyna piąć się w górę, lipcowe słońce Bithynji daje się srogo we znaki. Kiedyś był tu las, obecnie zostały po nim tylko paprocie i wonne zioła. — Dopiero po parogodzinnym marszu, dostajemy się do folwarku Lazarystów, gdzie nas czeka, bijące ze skały źródło i upragniony cień prastarych dębów. — Jestem prawie u celu, jeszcze godzina spaceru i stąpam po polskiej ziemi. — Gdybym miał jakie wątpliwości, to rozproszyłyby je wkrótce rodzinne nawoływania: „burek, a chodź tu, do nogi, leżeć spokojnie, dam ja ci tu szczekać“, skierowane do ogromnego kundla, którego moje przybycie mocno zdenerwowało.

Po chwili siedzę za stołem u pana Biskupskiego, wójta gminy Adampol, nad donicą kwaśnego mleka. — Nigdy mleko nie skwaśniało we właściwszym momencie i nigdy nie znalazło się w lepszych rękach.

Przybyłem trochę nie w porę, w same żniwa, koloniści byli więc u roboty, dopiero pod wieczór, pod rosochatą lipą (nie ręczę czy lipa, może był to dąb, albo jawor, w każdym razie jeden z tych trzech gatunków, jeżeli nie platan), punktem zbornym całej kolonji, mogę poznać większą część jej mieszkańców i rozpytać się o stosunki polskiej kolonji w Azji.

Osada Adampol (nazwana tak, jak wiadomo, na cześć ks. Adama Czartoryskiego, który się głównie do jej nabycia i urządzenia przyczynił, mniej więcej pół wieku temu), składa się z dwudziestu czterech gospodarstw, dosyć nierównomiernie uposażonych pod względem gruntów... Dawniej było gospodarstw czterdzieści. Liczba mieszkańców Adampola dochodzi dwustu. Ziemia jest tu uboga, rzadko więcej jak pięć ziarn daje. Koloniści sieją przeważnie żyto i jęczmień.

Główny ich dochód stanowią goście, przybywający na lato z Konstantynopola, tudzież drób, zwierzyna i masło, na które to produkta, łatwy zbyt znajdują w stolicy Turcji. — Klimat Adampola nadzwyczaj zdrowy, to główna tej miejscowości zaleta. Gdyby komunikacja była łatwiejsza, przyjeżdżałoby tu mnóstwo osób z miasta na kurację. Praca w roli wielce uciążliwa, położenie pól faliste i grunta ciężkie do uprawy, a inwentarza mało, bo brak łąk nie pozwala go w większej ilości wyżywić.

Pomimo tych warunków położenie Adampola byłoby dosyć znośne, gdyby nie troska o los młodego pokolenia, które w dzisiejszych stosunkach musi albo zdziczeć, albo się wynarodowić. Kolonja nasza, otoczona tureckiemi, greckiemi i czerkieskiemi wsiami, nie posiada ani polskiego nauczyciela, ani księdza, chociaż koloniści dawno się o to starają i chętnieby, jak mnie zapewniali, łożyli na utrzymanie księdza po 4—5 ft. tur. (44—55 fl.), w nadziei, że znajdzie się kapłan, któryby równocześnie zechciał uczyć ich dzieci, gdyż na utrzymanie dwóch osób, nieliczną i ubogą kolonję nie stać.

O budowie kościoła dawno Adampolanie myślą, zebrali już pewien fundusz i materjał budowlany. Cóż kiedy rząd turecki budowy kościoła zabrania. Adampol należy nominalnie do synów ś. p. Władysława ks. Czartoryskiego. Kolonistów, uważa rząd turecki za dzierżawców i odmawia im przeto prawa do petycji o pozwolenie stawiania budynku na rzekomo cudzym gruncie, chcąc ich w ten sposób zmusić do wyrobienia sobie tytułu własności... Jednak ta zmiana, wyszłaby naszym rodakom na najgorsze. Zostając poddanymi tureckimi, zostaliby dzisiejsi wolni, polscy koloniści, zrównani z innymi rajami, których los, jak wiadomo, nie jest do pozazdroszczenia. Dokuczanoby im podatkami, a co najgorsze, mogliby Adampolanie, sprzedawać swoje udziały obcokrajowcom i w krótkim czasie, kolonja przestałaby być polską. — Tymczasem dzisiaj wolno koloniście sprzedać swoją zagrodę, lecz jedynie Polakowi; to też do dziś dnia nie ma w Adampolu ani jednego cudzoziemca.

Za życia ks. Wład. Czartoryskiego opiekował się naszymi kolonistami konsulat francuski, dziś jednak zrzekł się tej opieki, ponieważ jeden z synów księcia przyjął austrjackie, drugi niemieckie poddaństwo. Dla kolonji, zdaniem mojem, byłoby bardzo pożądanem przybycie nowych sił z Polski. Przy liczniejszej ludności łatwiejby jej przyszło ponosić wspólne ciężary, jak naprawę dróg, utrzymanie szkoły i kościoła. Ziemi, odłogiem leżącej i drzewa na budowle, jest tam jeszcze pod dostatkiem dla kilkunastu gospodarstw. Każdy jednak, nowo przybywający, musi, rzecz prosta, otrzymać swoją działkę od księcia i być przyjętym przez gminę. Majątku nikt w Adampolu nie zrobi, ale przy pracy i to żmudnej pracy na wcale znośne utrzymanie każdy zarobić potrafi.

Domki naszych kolonistów przedstawiają się wcale powabnie w otoczeniu drzew figowych i czereśni, a co najważniejsze, utrzymane są schludnie. Gospodarstwa ich imponują okolicznym Turkom, którzy do dziś dnia używają drewnianych pługów do uprawy roli.

W Adampolu o kradzieży i szkodnictwie nie słychać, to też nasi polscy azjaci, cieszą się bardzo dobrą sławą u sąsiadów i są powszechnie lubiani. *F. C.*

Rosyjska prasa rewolucyjna.

Nigdy jeszcze nielegalna literatura rosyjska, nie była tak ożywiona i bogata, jak w chwili obecnej. W artykule niniejszym, chcemy zapoznać czytelników „Tygodnia" tylko z prasą rewolucyjną.

Niektóre pisma rewolucyjne, drukują się w samej Rosji, inne po za jej granicami.

Pod względem kierunku rewolucyjna prasa rosyjska dzieli się na dwa obozy: socjalno-demokratyczny i socjalistyczno-rewolucyjny.

W Rosji wychodzą następujące socjalno-demokratyczne pisma: „Raboczaja Myśl", (Myśl Robotnicza), jest to organ najbardziej umiarkowany w swym obozie, obecnie uznaje on także potrzebę wolności politycznej, ale nie wysuwa tej ostatniej na pierwszy plan w walce proletarjatu z dzisiejszym porządkiem społecznym w Rosji. Pismo to stawia w dość dziwaczny sposób sprawę wolności politycznej, zamiast akcentować ciągle potrzebę ograniczenia władzy cara, przez zgromadzenie prawodawcze, uważa ono za potrzebne domagać się najpierw prawa zgromadzeń, wolności słowa, druku i związków tak, jak gdyby te piękne postulaty mogły istnieć bez parlamentu. Parlament uważa „Raboczaja Myśl" za koronę zdobyczy politycznych, która zjawi się po urzeczywistnieniu się wymienionych wyżej postulatów.

„Raboczaja Myśl", drukuje się w Petersburgu. Od roku 1897 do chwili bieżącej wyszło 13 numerów. Pismo to przeznaczone jest dla robotników, pisane językiem dostępnym, nie zawiera

artykułów większej wartości, liczy jednak wielu czytelników. Jest organem Petersburskiego komitetu „Rosyjskiej socjalno-demokratycznej partji“.

„Wpierod“ (Naprzód) wychodzi w Kijowie, jest organem kijowskiego komitetu tejże partji, uznaje zdobycie konstytucji w Rosji za najpilniejszą potrzebę ruchu w chwili obecnej, za wiele jednak wagi przywiązuje do strejków. Pismo to, na ogół jest radykalniejsze i bardziej polityczne, od „Raboczej Myśli“. Od roku 1897 do chwili obecnej wyszło 10 numerów.

„Jużnyj Raboczyj“ (Robotnik Południowy), jest organem jekatierynosławskiego komitetu „Rosyjskiej socjalno-demokratycznej partji“. Pod względem politycznym pismo to jest bardzo wyraźne i domaga się walki o konstytucję, akcentuje potrzebę jej na każdym kroku. Redagowane jest bardzo żywo, duch rewolucyjny ożywia je w większym stopniu, niż wyżej wymienione pisma. Od roku 1900, do chwili obecnej, wyszło 6 numerów.

„Jużnyj Raboczyj“, jak i „Wpierod“, przeznaczony jest dla szerokich kół robotniczych.

„Raboczaja Gazeta“ (Gazeta robotnicza) jest organem grupy saratowskiej tejże „Rosyjskiej socjalno-demokratycznej partji“; uznaje konieczność wytężenia sił rewolucyjnych dla zdobycia wolności politycznej; od roku 1900 do chwili obecnej wyszło 7 numerów Pismo to jest robotnicze.

„Niżegorodzkaja Raboczaja Gazeta“ (Gazeta Robotnicza Niżegrodzka), zaczęła niedawno wychodzić. Dotychczas, pojawił się jeden numer. Wszystkie wyżej wymienione pisma noszą wspólne cechy pod względem treści i układu numerów; zawierają krótkie artykuły programowo-taktyczne, na tle spraw bieżących, oraz liczne korespondencje, lecz brak im głębszych artykułów rozumowanych.

Okoliczność ta wynika stąd, że pisma te drukują się w Rosji, nie mogą więc być zbyt duże, a oprócz tego prasa zagraniczna wypełnia całkowicie te luki.

Dla dopełnienia obrazu pism, wychodzących w Rosji, musimy jeszcze powiedzieć kilka słów o „Rewolucionnoj Rossii“ (Rewolucyjna Rosja), organie „Związku rosyjskich socjalistów-rewolucjonistów“. Pismo to wyróżnia się od poprzednich rozmiarami i kierunkiem.

„Socjaliści-rewolucjoniści“ są ideowymi spadkobiercami „Narodnej Woli“, różnią się też od socjalno-demokratów. Na razie zaznaczymy tu tylko, że „Rewolucjonnaja Rossia“ wybornie jest redagowaną, zawiera bardzo żywo pisane artykuły treści politycznej, zwraca baczną uwagę nietylko na sprawy robotnicze, lecz i ogólno-państwowe i agrarne. W taktyce zaleca, chociaż trochę niewyraźnie, gwałtowne środki walki z rządem — teror. Pismo to zaczęło wychodzić w 1900 roku. Dotychczas zjawiły się 4 numery. Organ ten nie jest przystępny dla przeciętnych robotników.

(Dok. nast.) *L.*

10)

Dzieje mieszkań ludowych w Polsce.

STUDJUM HISTORYCZNO-PORÓWNAWCZE.

Różnica w zastosowaniu metody mojej do zabytków językowych, od tego, co czynią fachowcy lingwiści, szukający wyjaśnienia faktów z prawidłowości w pokrewieństwie dźwięków słownych, jest następująca:

Opieram się na spostrzeżeniu wyrażonem już pierwej, że optyczne podobieństwo kształtu i ruchu decydujące jest przy tworzeniu nowych pochodnych wyrazów, a dotykalność porównań, wspólna wszystkim cenionym poetom, w różniczkowy drobny sposób urobiła moc pochodnych wyrazów *). Do jakiego stopnia obraz i rysunek

*) Rzecz jasna, że w słowach zgrzyt, świst, grzmot, zawartem jest słuchowe podobieństwo odgłosu, czyli tak zwana „onomatopeja“.

szematyczny kształtu i ruchu jest decydującym w tworzeniu nietylko dzieł sztuki stosowanej, niech posłuży fakt przytoczony przez Krzywickiego: „Plemię kosmiczne (pozaludzkie) było podług filozofji indyjskiej, zorganizowane w rody na zasadzie wzajemnego (obrazowego) podobieństwa. Żmija, strzała, błyskawica, należały naprzykład do tego samego rodu (szybko-poruszających się linijowców) (Krzywicki, Ludy str. 189.).

Takim klanem, w jaki się wiążą słowa i wyrazy, będzie dla nas każdorazowy typ życia kulturalno - gospodarczego, **obrazowo** w całość ujęty. Naturalnie, że sprawdzian nasz, rzucający już pewne światło na rozdział i ułożenie brzmień, byłby niewystarczający, gdybyśmy nie uwzględnili kolejnego uwarstwowienia kultur, wziętego z paleontologji, archeologji i historji. Wiedząc co i kiedy następuje, a dlaczego musi nastąpić, i zestawiając obraz rzeczy z zabytkiem brzmieniowym, mniej, sądzę, będziemy narażeni na błędy, niż puszczając się samopas na bardzo mało jeszcze ograniczone teorją pole pokrewności dźwięków językowych.

W ramach klanu obrazowego, wiążącego całość życia w danym typie kulturalnym, rozwija się pokrewieństwo słów i pojęć według następującego szematu obrazowego, myślowo rozważonego.

1) Pierwszy stopień wyrazów związany jest z człowiekiem, czynnością przez niego wykonaną i materjałem.

2) Czynność i stykanie się ciągłe z pewną szczególną robotą nadają nazwę człowiekowi, odróżniającą go od innych ludzi naprzykład tkacza tkającego od kowala kującego.

3) Czynność w wyrazie oznaczona, wiąże się z przedmiotem roboty i odbija się na tym przedmiocie w formie przetworzonego odpowiednio do prawideł językowych brzmienia (pleść co? — **plecionkę**).

4) Czynność odpada od materjału pierwotnego i stosować się może do innych materjałów z których podobną poprzedniej robotę wykonać można. (Pleść zamiast z wikliny coś **ze skóry**).

5) Istota materjału, plecionka, tkanina może swą nazwę dawać utworom przestrzennym (szata — szatro — namiot), byle tylko obraz, związany z zasadniczem przeznaczeniem, się nie zmienił*).

6) Odpada materjalność związana z przedmiotem, czynnością i tworzywem, a pozostaje człowiek z linją ruchu skrzepłą w wyobraźni. (Człowiek „plecie plotki“).

7) W miejsce człowieka podstawia się co innego, byleby ono czynnością swoją jego przypominało.

8) Znika w ogóle istota działająca, a pozostaje oderwane pojęcie, które i wtedy jeszcze obrazem swoim wskazuje na tło materjalnego poczęcia. — Krętactwo — Plotkarstwo.

Wreszcie zanika treść, a pusty dźwięk wyrazu szuka następnej obrazowo pokrewnej treści, zwodząc tem i najbystrzejszych badaczy lingwistycznych. (Tak dawna nazwa „gaj“ osada ludzka, przeniosła się na „gaj“, nazwę młodego lasku, tak „szwedzkie szańce“ powstały ze „świętych cerkwiszcz“, zatraciwszy pierwotne odniesienie się).

W powyższy sposób każda forma istnienia ludzkiego, stepowa i palowa, ziemianek-koszów, drzewa z korą, drzewa obłupanego i ciosanego, cegły, kamienia urabia z zasadniczego tła życiowego wszystkie pojęcia, i jak mamy siekierki z kości, z rogu jelenia, z krzemienia, miedzi, bronzu i żelaza uczynione, tak mamy też i pojęcia tożsamowe, wyrażone w namiotowym, palowym, ziemnokoszowym i drzewnym sposobie. Obok zupełnie wyrobionych pojęć poprzedniej epoki, wyrażonych od słowa namiot, miotać, wić, zjawia się tożsamowe pojęcie, wyrażone w pochodnem od pal — pleść, kosz — koczować i kleta — klecić (pierwiastek, kali, drzewo). Wić wici, **pleść plotki**, pleść koszałki, klecić klatki, każde zaś z tych zdań oznacza jedno i to samo. (Brückner „O Piaście“ str. 2.)

Tak czynność i materjał mieszkalny i wytwórczy odmienny przemienia odpowiednio wyobrażenie działania, a tem samem i znaki brzmieniowe słowne.

*) Odzienie dla jednostki jest szatą, pallium, płaszczem, dla rodu, rodziny całej zaś szatrem, palludamentem, pałanką. U ludów pierwotnych, u których rodowe poczucie jest silne, bywa często odzienie i mieszkanie jednoznacznikiem.

Według metody wyżej omówionej rozważmy więc, o ile przechowały się jeszcze ślady stepowego życia w kulturze Aryów.

Zaznaczymy, że najwięcej oderwane, a więc najstarsze pojęcia są wyrażone w języku na stepach urobionym, najdoskonalsze instytucje społeczne, często do klanu namiotowców brzmienie swoje odnoszą, a budownictwo włościańskie do dziś jeszcze w Niemczech i Słowiańszczyźnie, przechodząc przez tubylczą miejscową europejską kulturę palowców, koszowców, drewlan, nie wyzbyło się zupełnie składników, z wędrówki długiej przyniesionych.

Szczególnie pięknie jest zachowany klan obrazowy wyrazów i pojęć „namiotowych“ u Węgrów, którzy jeszcze w historycznej dobie na koniach świat przebiegali, o których podróżnik arabski, zwiedzający kraje słowiańskie w XI stuleciu, pisze: „Madziarowie jestto naród, mieszkający w namiotach i szałasach, a śledzący, gdzie spadł **deszcz i jest pasza**“. (Al Bekri, tłom. Łebińskiego, Rocz. nauk. poznański.)

Również Litwini, których bory, a zwłaszcza bagna odcięły bardzo wcześnie od reszty Europy, nie zmieniając wiele językowo, przechowali również dużo z czasów stepowej wędrówki.

Jeśli o twórczości artystycznej palowców twierdzić można, że oparła się ona o kosz, piecionkę i tkaninę, to w nieporównanie wydatniejszy sposób mówić to należy o „namiotowcach“.

Tam tkanina jest wszystkiem, do tkaniny odnoszą się w ostatniem odwołaniu najoderwańsze pojęcia, najdalej odbiegłe brzmienia, z plątanej we wszelaki sposób skóry i wełny wychodzi cała dzisiejsza zdobniczość sztuki wschodniej dywanowej, maurytańskiej, tureckiej i perskiej, która przecież niegdyś w ornamentyce (celtycko-normańskiej), otwierającej historję stylów nowoczesnych, miała zupełny oddźwięk w Europie.

Aby odtworzyć w sobie myślą kosmiczny klan namiotowych pojęć i ze stepowego życia wyrosłych wyrażeń, uprzytomnijmy sobie to, cośmy swego czasu o Kirgizach, w ślad za panem Ludwikiem Krzywickim, w rozdziale II-gim powtórzyli.

Wiemy stamtąd, że koń, trzoda owiec, step, namiot i tkanina z wełny, szal, sukno, pilśń, mięso, mleko, woda do gotowania, ogień i gnój bydlęcy stanowią wszystko, co wypełnia gospodarcze życie stepowe.

Wiatr zaś, który według przysłowia kirgizkiego „roznosi lud wędrowny po stepie, jak drobny piasek morski“, niósł przez długie wieki pokolenia przodków naszych, wygubiając ich miljony po drodze — od Azji ku środkowej Europie.

Mieszkali zaś ci Aryowie podczas długiej wędrówki tak, jak Kirgiz i Kałmuk w Azji a cygan w Europie, w namiotach.

„Namiot“ *) to nazwa mieszkania do dziś najpowszechniejsza może. „Namiot“ po polsku, — „Namjet“ rosyjskie — „Namat“ (wojłok) wschodnio-azjatyckie — „Namd“ afgańskie — „Namata“ sanskryckie — „Naos“ przestrzeń mieszkalna w Grecji — „Nemet“ świątynia po keltycku — „Nemezal“ coś z pilśni z wojłoku po węgiersku.

Zestawiwszy nazwy mieszkania, poszukamy obecnie węzła obrazowego do połączenia w jeden „klan namiotowy“ pojęć i brzmień powszechnych w śpichrzach językowych ludów europejskich i wschodnio-azjatyckich.

*) Jako źródeł obok słownika porównawczego języków słowiańskich Miklósicza, słownika wyrazów etymologicznych Goriajewa, używam tu słowników łacińskiego (Klotz) greckiego (Pappé), francuskiego (Littré), polskiego (Linde), romańsko-łacińskich języków (Körting).

(C. d. n.) *Kazimierz Mokłowski.*

STEFAN RYCERSKI.

PUŚCIZNA BRZESZCZA.

(C. d.)

— W takim razie postąpiłeś wbrew swoim przekonaniom.

Witold wstrząsnął głową.

— Nie miałem jeszcze żadnych przekonań w tym względzie, mówiłem wam to już. Dałem się pochwycić powierzchownemu prądowi, nie domyślając się innych, bo te do głosu przyjść nie mogły, ale przyznaję, nie pojmuję was wszystkich, a już najmniej Ignasia.

Ignaś nie odpowiedział, bardzo niezadowolony z tego niespodziewanego zwrotu człowieka, o którego zdanie mu chodziło. Przytem myślał z niepokojem o tem, co nastąpi po wyjeździe przyjaciół, których na jego nieszczęście jakieś licho przyniosło. Pożegnał ich z roztargnieniem, gdy powóz zajechał i nie pamiętał nawet, na kiedy baron zaprosił go do siebie.

Zostawszy sam na ganku, wahał się przez chwilę, co miał uczynić. Iść do matki, jak należało, nie miał odwagi, sióstr znaleść nie mógł, Berwicz pojechał do jakiegoś folwarku. Chodził więc po pokojach, mrucząc przez zęby.

— Djabli nadali! Djabli nadali!

Jego płytki umysł nie był w stanie objąć w zupełności tego, co się stało, czuł jednak niewyraźnie, że była to rzecz niepowrotna. Zapytał tylko Jana, czy posłano po doktora dla pani?

Jan odpowiedział, że pani się podniosła i posyłać nie kazała.

Przy wieczornej herbacie nie było ani pani Teresy, ani Berwicza.

— A mama? — spytał nieśmiało starszej siostry.

— Mama jest w swoim pokoju — odparła Marynia — nie chce, aby jej przeszkadzano.

Zapanowało milczenie.

Marynia była blada, oczy zaczerwienione świadczyły, że płakała. Ignaś nie pytał o przyczynę. Zwyczajem pospolitych natur nie chciał przyznać się do winy, wolał szukać jej w innych. Przeklinał więc w duchu sentymentalizm i egzaltację kobiet, które mieszają się w nieswoje rzeczy i powtarzał sobie ciągle, że on, jako mężczyzna, miał prawo postępować, jak mu się podobało.

Jadzia pierwsza oddaliła się od stołu, gdy Ignaś pił powoli herbatę, paląc papierosa po papierosie. Marynia oparła głowę na ręku i zamyśliła się głęboko. Wyglądała w tej chwili na wcielenie smutku i była przytem, jak brat zauważył kilkakrotnie, bardzo piękna. Bogate, ciemne włosy obejmowały naturalnemi karbami szerokie czoło, jaśniejące inteligencją, delikatne powieki spuszczone rzucały na policzki cień rzęs, usta trochę rozchylone miały wyraz skupionej boleści, sprzecznej z okrągłymi zarysami młodej twarzy.

Ten wyraz uderzył Ignasia, który kochał Marynię, o ile kochać był w stanie. Więc skończywszy herbatę, zbliżył się do niej i objął, jak zwykle.

Ona uczyniła mimowolny ruch, jakby odepchnąć go chciała, ale to nie trwało sekundy, pełna żalu, zarzuciła mu po dawnemu ręce na szyję i wybuchnęła łzami.

— O Ignasiu, Ignasiu! — szepnęła wśród łez — coś ty uczynił?...

Cisnęła się do niego i całowała, ale był to jakiś uścisk rozpaczny, jakby dawany umarłemu. A jednak, gdyby w tej chwili tak, jak Arczyński, wyznał, że dał się unieść petersbusrkiej fali, żałował swego obłędu, kto wie, czy siostra nie byłaby przejednała matki i czy jego słaba natura nie uległaby na czas jakiś przynajmniej dobroczynnym wpływom otaczających. Ignaś tego nie uczynił, przepuścił tę zbawczą chwilę, jaką mu los zsyłał. Jego męska zarozumiałość poddać się mogła jedynie pochlebstwu. Należał do rodzaju ludzi, wyzyskiwanych zwykle przez najpospolitsze kobiety.

Marynia o tem nie wiedziała, a gdyby nawet wiedziała, nie raczyłaby się nigdy uciekać do podobnych wybiegów. Miała dumę kobiet szlachetnych. Pochlebstwo, podstęp, dyplomacja z istotą ukochaną były dla niej wstrętne. Używać ich wstydziłaby się przed własnem sercem.

— Cóż ja tak złego zrobiłem — wyrzekł Ignaś — że patrzycie na mnie tutaj, jak na zbrodniarza?

Uścisk Maryni się rozluźnił, tylko łzy jej płynęły.

— Ostatecznie — mówił coraz gwałtowniej — zrobiłem to, co i wszyscy.

— Wszyscy? — przerwała oburzona, wyrywając się z jego ramion.

— Przynajmniej wszyscy ludzie rozsądni. Jeślim w domu o tem nie wspomniał, to tylko dlatego, żem nie chciał wywoływać scen takich, jak dzisiejsza, ale skoro już wiecie, mówmy otwarcie.

— O? czem — zawołała z rodzajem przestrachu.

— Wytłumacz raz, za co mnie potępiacie?

Łzy Maryni oschły nagle.

— Jeżeli tego nie rozumiesz sam — odparła — ja ci tego tłumaczyć nie będę.

— To nie odpowiedź żadna.

— Tłumaczyłabym cudzoziemcowi, takiemu, co nie zna stosunków. Ale ty, ty mój brat, wnuk Brzeszcza, syn...

— Ah! — przerwał niecierpliwie — dajcie mi raz pokój z umarłemi. Ja jestem młody, mam prawo do szczęścia, chcę żyć mojem własnem życiem.

Powiedział w rozdraźnieniu więcej daleko, niż zamierzał. Powtarzał zapewne cudze wyrazy, ale one znalazły w nim echo i wyrwały mu się z najtajniejszych głębi duszy.

Oczy Maryni były pełne grozy. Z załamanemi rękoma szeptała...

— W takim razie... w takim razie...

Słowa te nie wymagały odpowiedzi i on wybiegł z jadalni, trzaskając drzwiami, wściekły na nią, na siebie, na świat cały i nie oparł się aż za dziedzińcem, w lipowej alei.

Noc zapadała, srebrzysta, księżycowa. Cisza jesienna panowała w powietrzu. Ignaś odetchnął pełną piersią, jakby dusiła go atmosfera rodzinnego domu i szedł drogą koło cerkwi i popowszczyzny ku krzyżowi, o którym wcale nie myślał w tej chwili.

Nagle doleciał go głos kobiecy, śpiewający z wesołem zacięciem operetkową piosnkę o Małgorzatce godnej uwielbienia. Wtórowało śpiewowi wesołe naszczekiwanie mopsika. A śpiew i szczekanie zbliżały się ku niemu i wkrótce zarysowała się postać kobiety i pieska, biegnącego przy niej.

Arcypospolita piosnka, ograna przez katarynki, nie mogła zadowolnić wykwintnego estety, jakim mianował się Ignaś, przecież w usposobieniu, w jakiem się znajdował, stanowiła pożądaną dywersję, a dźwięk głosu, chociaż niezbyt czysty, świadczył jednak, że śpiewaczka była młodą. Ignaś był wrażliwy na wdzięk niewieści, współtowarzysze nawet śmiali się z niego nieraz, utrzymując, że pociągała go każda bez wyjątku spodniczka, szedł więc szybko naprzeciw śpiewającej, nie myśląc nawet, kto to być może.

W miarę zbliżania, zauważył kobietę wysoką, rozwiniętą, w jasnej sukni. Szła drogą, przystawała co chwila, przerywała śpiew, wabiła mopsa, rozmawiała z nim, goniła, śmiała się nie wiedzieć z czego — zapewne było jej wesoło i śpiewała Małgorzatkę z nowym zapałem.

Ignaś miał niezły baryton, więc, nie namyślając się, zawtórował jej donośnie.

Jasna postać zatrzymała się, jak wryta, z lekkim okrzykiem, w którym nie było wcale przestrachu... Piesek zaczął ujadać, a ona uspakajała go, wołając.

— Cicho Bella! cicho!

Zamiast duetu zrobiło się zamieszanie, a Ignaś, korzystając z okoliczności, zbliżył się szybko z ukłonem.

— Dlaczego pani śpiewać przestała? — zapytał, czy miałem nieszczęście panią przestraszyć?

Osoba w jasnej sukni zaczęła się śmiać tem mocniej, że już teraz miała do tego powód. I długi czas upłynął, zanim uspokoiła się o tyle, by przyjść do słowa, bo ciągle przerywał jej nowy wybuch.

— Boże mój! — wyrzekła wreszcie — czegoż ja bać się miała?

Popatrzyła na niego przez chwilę i znowu zachichotała.

— Ji! pan wcale nie straszny...

— Czy to znaczy, że mam szczęście podobać się pani?

— Ot zaraz nieszczęście i szczęście. Znać kawalera z wielkiego świata. Ja ot sobie prosta dziewczyna, co pomyślę, tak i powiem.

— Więc się pani podobam — zaczął znowu przysuwając się Ignaś.

— Spodziewam się, taki śliczny kawaler! A jak pięknie śpiewa.

— Co do głosu, to ani mi się umywać do pani.

— Ah! i pan to także znajduje. Pan Szykowicz zawsze mówi, że mnie choć w teatrze śpiewać, a wszyscyby klaskali. Pan Szykowicz, wie pan pewno, syn księdza z Bielin. On uczył się w Petersburgu.

— Niechże pani jeszcze co zaśpiewa.

Panna nie dała się prosić i zaczęła wyśpiewywać na całe gardło operetkowe arje jedne po drugich. Przerywała sobie tylko od czasu do czasu zapytaniem:

— A to pan zna?

I śpiewała dalej, nie czekając odpowiedzi. On znowu śpiewał inne piosnki, których nie umiała. I to nie wiedzieć czemu, śmieszyło ją bardzo. Chichotała głośno bez żadnego powodu i upamiętania. Ignaś śmiał się także, może z niej, może wprost dlatego, że u młodych śmiech jest zaraźliwy. Panna powiedziała mu, iż wie doskonale, że jest panem Ignacym Marskim ze dworu, ona zaś jest Natalją Jedniewiczowną z popowszczyzny i oboje byli tak zajęci śpiewem, śmiechem, rozmową, że nie usłyszeli turkotu bryczki, którą Berwicz powracał.

— A toż co! — zagrzmiał jego głos donośny, w którym drgało zdumienie.

Rozpoznał szybko osoby, stojące na drodze i dał znak Hryciowi, który popędził naprzód, mijając młodą parę.

Pomiędzy nią zapanowało milczenie nagłe. Śmiech skonał na ustach Natalji, a Ignaś zmarszczył brwi i zaklął przez zęby.

Berwicz namyślał się, co ma uczynić. Namysł był krótki, zobaczył światło w oknach pani Teresy i poszedł wprost do niej. Uważał okoliczności za tak groźne, iż działać należało.

W salonie fortepjan Maryni rozbrzmiewał pod jej palcami burzą akordów, płakał, jęczał, skarżył się, jak zranione serce.

Nazajutrz Ignaś obudził się późno i pił czekoladę w swoim pokoju, gdy matka wezwała go do siebie.

Przy każdej prawie domowej rozterce, trafia się jakiś fakt poboczny, który zaostrza położenie, dolewa oliwy na ogień i doprowadza nieraz niechęci wzajemne do ostateczności. Możnaby sądzić, że jakieś złośliwe potęgi mieszają się w ten sposób do spraw ludzkich.

Spotkanie Ignasia z Natalją, było zupełnie przypadkowe, postąpił wprawdzie niestosownie, zawierając taką znajomość. Na razie niemiało to jednak żadnego znaczenia. Ale w danych okolicznościach stopień jego winy przybrał w oczach Berwicza potworne rozmiary, a pogląd jego udzielił się pani Teresie, która już sama nie wiedziała, co ma sądzić o synu.

Więc ze stanowczością sobie właściwą powzięła niezmienne postanowienie.

Nazajutrz Ignaś wezwany przez matkę, pomimo wszystkie swoje rozumowania wszedł do jej pokoju niepewnym krokiem i daleko więcej zmieszany, niż to chciał po sobie pokazać.

Pani Teresa siedziała przed biurkiem, jak wówczas, gdy przyjmowała zwykłych interesantów.

Była bardzo blada po bezsennie spędzonej nocy i tak zamyślona, że nie usłyszała skrzypnięcia drzwi.

Ignaś coraz więcej zmieszany zbliżył się zwolna, wziął rękę matki zwieszoną ku ziemi i podniósł ją do ust. Nie cofnęła mu jej, dłoń była rozpalona i drgała za każdem tętnem od gwałtownych uderzeń pulsu.

Ignasiowi zrobiło się przykro, bo tak jak siostrę, po swojemu kochał i matkę. Nie przyszło mu jednak na myśl, błagać ją o przebaczenie. Przeciwnie, byłby jej chętnie przekładał, jak niepotrzebnie się martwiła jego postępowaniem i egzaltowała, jak dziecko. Ale uczynić tego nie śmiał. Coś zatrzymywało mu niebaczne słowa na ustach.

Była chwila milczenia. Matka patrzała na syna z niewysłowioną miłością i żalem, jakby czekała jakiej oznaki skruchy.

Los Ignasia ważył się po raz ostatni.

— Po tem co zaszło — przemówiła wreszcie pani Teresa, głosem drgającym łzami, po tem co tylko przypadkiem doszło do mojej wiadomości...

— Moja mamo — spróbował wtrącić Ignaś.

Skinęła nakazująco, by jej nie przerywał.

— Komu innemu — mówiła z wysiłkiem — możnaby to darować, ale tyś urodził się i wychował tutaj. Ja nie ścierpię pod tym dachem tego, co cierpianem być nie powinno... nie będę przyjmować ludzi...

Zawahała się chwilę.

— Ludzi, których sprowadziłeś tu wczoraj...

— Jakto, mamo?...

Przerwała mu wzrokiem.

— Malińce nie dla nich i oni nie dla Maliniec... Powinieneś był to przynajmniej zrozumieć. Nie zrozumiałeś... Tem gorzej... Mniejsza... Chodzi o rzeczy ważniejsze. Straciłeś mój szacunek... Ale i o to mniejsza... Na to coś uczynił, braknie mi nazwy... Przecież w takich warunkach nie podobna nam żyć razem. Nie możesz tu pozostać.

Ignasiowi zdawało się, że źle usłyszał. Jakto on, on jedynak, przyszły dziedzic Maliniec nie miał prawa tu pozostać!

— Dopóki ja żyję, mówiła dalej pani Teresa z wzrastającą mocą, Malińce do mnie należą i ja z nich nie ustąpię ani piędzi ziemi, bo to spuścizna... mam tu do spełnienia obowiązki, których ty nie rozumiesz. Będę je spełniała do ostatniego tchnienia. Potem... potem będzie jak Bóg rozrządzi. To już nie w mojej mocy.

— Wypędzasz mnie mamo, zawołał.

— Nie ja! Ty sam wykluczyłeś się z pomiędzy nas.

Chciał coś mówić, ale ona znów skinęła, by jej nie przerywał. Czuła, że jej sił brakuje.

— Nie mówię o boleści, jakąś mi sprawił. To w rachunek nie wchodzi. Teraz idzie o przyszłość. Wolą moją jest, byś wyjechał za granicę, podróżował, badał stosunki, przyjrzał się, jak ludzie żyją, pracują w innych społeczeństwach. Może cię to nauczy obowiązków względem własnego... skoro ja nauczyć cię ich nie potrafiłam... Chcę byś był w Szwajcarji, Anglji, Skandynawji. Chciałeś zawsze podróżować; dotąd opierałam się temu... Prawda, marzyłeś o wielkich stolicach, zwłaszcza o Paryżu... Na to pozwalać nie mogłam i dziś nie pozwolę. Ani jeden grosz polski nie powinien być przez nas wydany w kraju nieprzyjacielskim. Pojmujesz to przecie?...

Spojrzała na syna badawczo i dostrzegła na twarzy jego zdumienie.

— Przecież Mieczyś Czarewski, wtrącił nieśmiało, pojechał do Paryża.

— To mi zupełnie obojętne, odparła. Nie obchodzi mnie to co robią inni, wiem, co nam czynić należy. Mieczyś jest naszym krewnym, ale nie mam nad nim władzy. Może zresztą ma jakie specjalne cele.

Ja pragnę, ja chcę, ażeby twoja podróż była pożyteczną, ażebyś skorzystał, dojrzał...

Głos jej zmiękł.

— Jesteś jeszcze dzieckiem Ignasiu. Chciałabym cię tym sposobem tłumaczyć, bo jesteś niedobrem dzieckiem. Może kochałam cię zanadto.

Spuścił głowę, nie rozumiejąc dobrze postanowienia matki. Od dawna pragnął podróżować, ale nie chciał być żegnany w taki sposób i posyłany, jakby na wygnanie, wcale nie tam, gdzie mu się podobało. Chociaż znowu nikt go nie mógł kontrolować.

Pani Teresa widać odgadła myśl jego, bo dodała.

— Przekonałam się na nieszczęście, że ci w niczem wierzyć nie mogę, będę więc zmuszona czuwać, ażeby wola moja była spełniona. Jesteś wprawdzie pełnoletni, pieniężnie jednak zależysz odemnie i muszę ci to przypomnieć, chociaż Bóg widzi, jak mi to przykro...

Milczała przez chwilę, jakby zbierając siły.

— Sądzę, że im prędzej wyjedziesz, tem lepiej będzie dla nas wszystkich. Są rzeczy zbyt bolesne, by dotykać ich można. Lękam się, by nie padły pomiędzy nas słowa, których potem nic nie zdoła wymazać z pamięci... A o czemże moglibyśmy mówić?

— Jakto! — zapytał zdumiony, — mam jechać zaraz.

W milczeniu skinęła głową.

Ignaś patrzał na nią z rodzajem trwogi. Taką, jak dzisiaj, nie widział jej nigdy. Pokazała mu nieznane oblicze i determinację. Spodziewał się wymówek, łez, gniewu, słowem zwykłej sceny, która musiałaby zakończyć się przebaczeniem, bo jakżeż mogło być inaczej. On był przecież jedynakiem, przyszłą głową rodziny. Zamiast tego spotkał chłodne postanowienie, przeciwko któremu nie próbował nawet protestować. Czuł, że wszelka protestacja byłaby daremną. Opuściła go naraz cała buta.

— Kiedyż mam jechać, spytał.

— Berwicz odwiezie cię do Mińska, wyrobi paszport i wręczy na pierwszy kwartał 500 rs. Suma ta starczyć ci powinna, bo nie chcę, byś żył kosztowniej od nas. Potrzeb, jak wiesz, w kraju jest wiele, a ja mam obowiązki. Kwartalnie posyłać ci będę taką samą kwotę, ale w zamian, żądam rachunków i szczegółowych wiadomości, co i gdzie studjujesz. Pamiętaj, że jest to warunek konieczny, bo zanadto ufałam ci dotąd.

Skończyła z wysiłkiem. (C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. *Dramat*. Akt wierszowany przez Juljusza Germana. Lwów 1902. Utwór to młodzieńczy od pierwszej do ostatniej stronnicy. Poznać to można przedewszystkiem po tem, że wątła i bez znaczenia treść przybiera na siebie postać problematu, od którego zdaje się świat cały zależeć. „Żona“ zdradza „Męża“ z „Bladym panem“, mąż dowiaduje się o tem, ale godzi się z faktycznym stanem rzeczy, podczas gdy „Blady pan“ się zabija. Świadkami i współdziałaczami tej historji są „Ktoś“, grający rolę sumienia i „Pierrot“, indywiduum niegdyś także zdradzone, przez swoją kochankę i ironizujące i swoją przeszłość i to, co się dzieje w dramacie. Całość ot sobie nieudały flircik studencki, nad którym życie przechodzi do porządku dziennego, rozwałkowany do godności całego dramatu za pomocą pozarywanych zewsząd środków dramatycznych, jak personifikacje uczuć, nastroje, przeczucia itp. Wszystko to niesłychanie niedojrzałe, ale za to nadzwyczajnie pretensjonalne począwszy od tytułu i jednej próżnej kartki z napisem „Niech się podniesie zasłona“, a skończywszy na końcowem zironizowaniu całego dramatu przez Pierrota i jego okrzyku: „wrażeń, nowych wrażeń!“. Widocznie wrażliwy młody, człowiek (autor), przejąwszy się współczesną literaturą i wysnuwszy z niej swój utworek, tak był tem zahypnotyzowany, iż nie czuł, że to już stare. Tylko aby sobie nadać pozór, że ma pragnienie jeszcze czegoś nowego, dał ten okrzyk końcowy. Gdyby on był rzetelnym, to p. German „Dramatu“ byłby nie wydał. *St. W.*

*

Prolegomena. Uwagi i szkice, przez Jerzego Żuławskiego. Lwów. 1902. Autor tej książki jest poetą i jako taki pierwej dał się poznać, niż jako filozof. Wiersze jego jednak tem się właśnie odznaczały, że były jakby owiane tchnieniem myśli spekulatywnej, że wychodziły więcej z pojęć, niźli z wyobrażeń. Teraz mamy przed sobą zbiorek prac prozą, w których p. Żuławski poszedł zupełnie za spekulatywnym popędem. I o ile tam filozof szkodził wierszom, pozbawiając je barw i plastyki, o tyle tu znowu poeta szkodzi teoretykowi, rwąc mu nitkę logiczną i unosząc go na skrzydłach wyobraźni dalej, niż na to konsekwentne pozwala myślenie. Stąd powstają często zachwyty zamiast argumentów, n. p. w szkicach „Ze świata myśli“, „Teorja nagiej duszy“ i „O Królu duchu“, przestawiania pojęć w „O cywilizacji i filozofji“, lub „Zagadnienie“, a wreszcie traktowanie takich niektórych pojęć, jak piękno lub sztuka, za coś już ograniczonego i nieprzesuwalnego n. p. w „Na dachu obserwatorjum“ i „Znaczenie symbolizmu w sztuce“.

Niepodobna w krótkiej notatce, ani streścić, ani tem mniej polemizować z autorem „Prolegomenów“. Do powyższych szczegółów ogólnej ich charakterystyki dodać należy, że są to wszystko wyrazy myśli człowieka, który stara się dać sobie radę z tem, co się pisze i dla czego się pisze. Dla tego kierunku usiłowań już samego godną jest ta książka, aby ją każdy w całości przeczytał. Raz dlatego, że można się z niej poinformować, jak wyobraża sobie jeden z modernistów polskich teoretyczną podstawę tego modernizmu, a powtóre dlatego, że w szkicach tych zamknięty jest kawał człowieka, który szuka uzasadnienia dla własnej twórczości, stara się sobie uświadomić, poco żyje i działa, jako pisarz i poeta. Z tego powodu książka jest zajmującą i podniecającą do myślenia, chociaż często w kierunku przeciwnym wprost intencjom autora. Że zaś poetyczne usposobienie autora, które szkodzi spekulatywnej myśli, równocześnie nadaje wykładowi sporo życia i barwności, więc „Prolegomena“ są przystępniejsze i każdy inteligentny człowiek czytając je będzie doznawał przyjemności, godząc się, albo się będzie oburzał, ale się w każdym razie nie znudzi. *St. W.*

*

Lud białoruski na Rusi litewskiej. M. Fedorowski. Materjały do etnografji słowiańskiej zgromadzone w latach 1877 — 1893 przez . . . . . (Wydawnictwo Komisji antropologicznej Akademji Umiejętności w Krakowie). Tom II. Baśnie, przypowieści i podania ludu z okolic Wołkowyska, Słonima, Lidy i Sokółki. Część I. Baśnie fantastyczno-mityczne. Kraków. Nakładem Akademji Umiejętności. 1902. 8-ka, str. XXXII. 358 i 1 nl.

Po długiej, bo kilkuletniej przerwie ukazał się tom drugi tego prawdziwie pomnikowego wydawnictwa, którego wartość dla nauki jest arcywielka. Wprawdzie z jednej strony żal patrzeć, że ludzie niestrudzonej siły woli, do których śmiało można zaliczyć p. Fedorowskiego, poświęcają taki ogrom pracy badaniu plemienia niepolskiego, żal ten jednak zmniejsza fakt, iż tak potężny pomnik Białorusi wzniosła ręka polska, jak gdyby na przypomnienie, iż ta Białoruś, jak dawniej, tak i dzisiaj, nam najwięcej ma do zawdzięczenia. A równocześnie nasuwa się inna uwaga pod pióro: jak mało mamy ludzi, którzyby pracowali tak wydatnie, jak p. Fedorowski, dla nauki — mieszkając w zapadłej okolicy, jak szczupła jest garstka tych, co z ogromnym nakładem trudów i pracy robią to, do czego potrzeba właściwie wielu głów i rąk. Bo materjały p. Fedorowskiego, które zajmą dziesięć grubych tomów, kosztowały go ćwierć wieku pracy mozolnej i wytrwałej. A czy tak wielu jest nas, którzyby ćwierć wieku poświęcili nauce — nie goniąc za uznaniem, ani poklaskiem, — lecz pracowali w zaciszu dla idei samej.

Dotychczas ukazało się jeno 200 podań białoruskich, zebranych przez kilku badaczy. Z tych nie wszystkie mają wartość naukową, bo tylko zbiorki Karłowicza i Weryhy stoją na właściwym poziomie, inne są bądź popstrzone samowolnymi dodatkami i wtrętami zapisujących, bądź znowu nie zostały zaczerpnięte wprost

z ust ludu. Jak olbrzymią i wyczerpującą jest praca Fedorowskiego — niechaj świadczą o tem nagie cyfry, które pokazują, że w samym tym tomie zapisano zwyż 400 podań, a zatem dwa razy tyle, niż ich dotąd posiadaliśmy, nie licząc tych opowiadań, które mieliśmy w tomie pierwszym, ani też tych, które ukażą się w tomie trzecim. Wszystkie zaś one bez wyjątku zostały zapisane w gwarze białoruskiej z możliwą wiernością brzmienia.

Jak o tem można było przekonać się z tomu pierwszego omawianej pracy, tradycje białoruskie przedstawiają bardzo bogaty a niezmiernie ciekawy materjał dla każdego badacza. Naturalnie nie inaczej, jak niemal wszędzie, podania krótkie, tyczące się uroczysk, jezior gór i t. p. są najliczniejsze. Równie niemal bogaty jest dział baśni cudownych, a więc o czarownicach, wilkołakach, djabłach, upiorach, topielcach i innych nadprzyrodzonych istotach. Najobficiej wszelako reprezentowany jest w baśniach białoruskich świat realny, życie codzienne, na które chłop patrzy z bliska i ciągle aż do znudzenia. To też opowiadania, należące do ostatniej kategorji przechowują się w pamięci ludu jak najdłużej, podczas gdy inne z biegiem czasu zacierają się stopniowo coraz więcej i giną nakoniec. Do najuboższych należy dział opowieści fantastycznych o bohaterach i mitycznych potworach, który został wydany w omawianym przez nas tomie „Ludu białoruskiego“.

P. Fedorowski przyjął w układzie baśni podział Dra Karłowicza, uzasadniony na zjeździe folklorystów w Sztokholmie. Umieścił tedy najprzód baśnie dotyczące się świata zwierzęcego, dalej istot mitycznych i zwierząt o właściwościach nadprzyrodzonych, świata duchowego t. j. życia doczesnego i zagrobowego, istot w postaci ludzkiej (mór, cholera, śmierć), czarów, duchów (upiór, wisielec, topielec, djabeł), a nakoniec Boga, świętych i kapłanów, uznając słusznie zasadę, że najpierwotniejszy obraz myślenia rozpoczął się od rzeczy, podpadających pod zmysły, a nie od świata nadprzyrodzonego.

Niepodobna w sprawozdaniu naszem zastanowić się szczegółowo nad materjałami, wydanymi w tym tomie. Ale też trudno pominąć milczeniem uwagę wydawcy, wyrażoną w przemowie, iż wiele tych z opowiadań okazuje ogromną analogję z baśniami polskiemi, terytorjalnie bardzo odległemi, n. p. podhalańskiemi. Dla przykładu sprobujemy wskazać parę takich analogji. Najprzód tedy baśń o piszczałce, której Dr. Bugiel w r. 1893 w „Wiśle“ poświęcił osobne studjum, występuje i w zbiorze p. Fedorowskiego (str. 97). Baśń znowu o zabijaniu starców, o której pisał prof. Polivka w „Zeitschrift des Vereins für Volkskunde“ w r. 1898. str. 25 — 29, jest i tutaj (str. 126). A wreszcie, ażeby już więcej nie wyliczać — wskażemy tylko bajkę o śmierci, która osierociła z rozkazu Boga kilkoro dziatek, zabierając im matkę, zupełnie analogiczną z „Sabałową bajką“ H. Sienkiewicza. Przykładów takich możnaby przytoczyć całe mnóstwo. Ale poza tem napotyka się w zbiorze p. Fedorowskiego co krok szczegóły, o jakich skąd inąd nie wiedzieliśmy wcale, lub bardzo małe mieliśmy o nich wiadomości.

Wobec tego, co wyżej powiedzieliśmy — nie potrzebujemy dodawać niczego o zasługach wydawcy. Wyrazimy tylko prośbę pod adresem Akademji Umiejętności, ażeby nie kazała na tom następny, który jest już kompletnie przygotowany do druku, czekać tak długo, jak na omawiany.

Stanisław Zdziarski.

PISMA. *Pamiętnik literacki.* Drugi zeszyt tego czasopisma wydawanego przez Towarzystwo literackie imienia Adama Mickiewicza przedstawia się równie bogato, jak pierwszy. Z większych prac z zakresu historji literatury spotykamy tu dalszy ciąg studjum p. Stanisława Windakiewicza „Erotyk Kochanowskiego“, prof. Aleks. „Brücknera „Najznakomitsi pisarze wieku XVII“ (Łukarz Opaliński) i dokończenie rozprawy Ign. Chrzanowskiego „O satyrach Naruszewicza“. W pierwszej autor wydobywa z przeszłości dzieje miłosne Jana z Czarnolasu i objaśniając poszczególne ustępy jego erotyków, każe je czytelnikowi rozumieć, bądź to jako realne wypływy chwili, bądź jako zmyślenie, bądź też jako bezpośrednie rezultaty literatury odrodzenia. W drugiej rozprawie profesor berliński pisząc o Opalińskim, rehabilituje w dalszym ciągu wiek XVII traktowany dotychczas u nas z lekceważeniem, który jednak pomimo nazwy „panegiryczno-makaroniczny“ jest w treści i tendencji dzieł ówczesnych pisarzy bardziej narodowym niż następny. P. Chrzanowski wreszcie zestawia wartość satyr Naruszewicza ze współczesnymi sądami o nich.

Pomimo, że wszystkie te trzy rozprawy pisane żywo wnoszą dużo nowego w szczegółach i myślach, punkt ciężkości zajęcia nie spoczywa w nich tak, jak w pierwszym zeszycie „Pamiętnika“, lecz w „Notatkach“ i w Materjałach. W pierwszych odznaczają się głównie praca „Przyczynek do historji plagjatów w Polsce“ w której p. Hieronim Łopaciński zestawia kilkanaście wypadków kradzieży literackiej, mniej lub więcej bezczelnej, a w końcu wykazuje, jak „Bylicę Świętojańską“ skradł Januszowski Twardowskiemu i pozmieniawszy ustępy, poświęcił ją Zebrzydowskiemu. Bardzo interesującą jest króciutka monografja p. Chmielowskiego o najdawniejszych naszych feljetonach, a wreszcie psychologicznem wniknięciem w sposób tworzenia Krasińskiego odznacza się szkic p. Tadeusza Piniego p. t. „Z pracowni poety“. Z tego mogą się nauczyć nasi dyletanci, jak należy dążyć do rozumienia twórczości poetyckiej, zamiast do jej kodyfikowania. W „Materjałach“ wreszcie, znajdują się dwie bardzo aktualne rozprawy: F. Bostla „Przyczynek do dziejów pierwszej ruskiej drukarni we Lwowie“ i Br. Czarnika „Dwa dokumenty do dziejów katedry języka i literatury polskiej na Uniwersytecie lwowskim“.

Bardzo bogatym jest również dział recenzji i sprawozdań z rozmaitych publikacji, a kończy się zeszyt „Bibliografją literacką czasopism za rok 1901“ zestawioną przez E. Dubanowicza i St. Kossowskiego. Praca ta, doprowadzona w tym zeszycie do litery G., ma za zadanie utrzymać w ewidencji nazwiska autorów i dzieł literatury pięknej i krytycznej, jakie się w przeciągu danego roku pojawiły.

SZTUKA. *Bolesław Biegas.* Niezwykłe to doprawdy zjawisko: ten pastuszek-analfabeta z Płockiego, który na plebanji poczciwego proboszcza lepi figury świętych i postacie symboliczne z historji Polski, a potem do krakowskiej szkoły sztuk pięknych oddany — sobą być nie przestaje i niechęć profesora na siebie ściąga, a wreszcie po trzech latach szkołę tę opuściwszy, za jednym zamachem zdobywa sobie sławę — we Wiedniu i w Monachjum i obok nazwisk najznakomitszych współczesnych artystów, widzi imię swoje umieszczone na liście członków wiedeńskiej Secesji! Dziwny to i wprost zastanawiający fenomen. Jak niedawno temu Toorop we Lwowie, tak w Krakowie, gdzie staraniem Uniwersytetu ludowego urządzono wystawę prac jego w dolnej salce nowego gmachu T. P. S. P., budzi obecnie Biegas zachwyt i oburzenie, a bądź co bądź ogólną sensację. Symboliczne rzeźby jego, jak „Potężny Duch", „Chrystus", „Walka o byt", „Siejba łez", „Ludzkość" i t. p., pomimo wielkich nieraz naiwności w pomyśle samym, a zwłaszcza we fakturze, przykuwają do siebie uwagę i zastanawiają. Jest w nich jakaś żywiołowa moc wizjonerska, jest głębia zadziwiająca intuicji, jest dziwna poezja i czar ponury — nieokreślony, z którego nie wie się jednak doprawdy, ile kłaść się ma na karb nieraz rzeczywiście głębokiego i oryginalnego pomysłu, a ile na karb... nieudolnego wykonania. W każdym razie, co zastanawia i działa w nich najsilniej, to strona literacka tych utworów, choć samo już określenie „literacki" dziwnie brzmi w zastosowaniu do Biegasa. Ten talent samorodny i rzeczywiście „z bożej łaski" pozostał tem, czem był — samoukiem. Jeżeli jednak n. p. Rodin, jeden z największych dziś rzeźbiarzy francuskich, w większości dzieł swoich „z bryły nie wychodzi", to wie się z innych dzieł jego i czuje się to zawsze, że stronę techniczną sztuki swej opanował on doskonale; w utworach Biegasa przyczynę tego samego zjawiska upatruje się przedewszystkiem w nieudolności. Taki, jakim się nam dzisiaj przedstawia, stoi on jeszcze na granicy pomiędzy sztuką — a osobliwością, a powodzenie jego zagraniczne w znacznej części tłumaczyć sobie należy tą właśnie jego „egzotyczną" prymitywnością. Dróg, po których kroczy talent, zwłaszcza tego rodzaju talent.... poetycki, przewidzieć nie można. Zachodzi jednak wielka obawa, że teraz zwłaszcza, po świeżych tryumfach zagranicą, Biegas zasklepi się w sobie zupełnie i pracy dalszej nad sobą zaniecha, a wtedy stanie się on może osobliwością dnia w Berlinie lub nawet w Paryżu, ale i osobliwością tylko na zawsze pozostanie. A szkoda by to była dla naszej sztuki ogromna. Ci, którzy dziś bezkrytycznie wielbią Biegasa, grzeszą względem niego ciężej jeszcze od tych, którzy sztukę jego bezkrytycznie potępiają. Prawdziwy talent nie wyrabia się w pętach akademicznego szablonu, ale i nie zapomina o tem, że chcąc sobą pozostać, musi łamać się niestrudzenie i ustawicznie z warunkami materjalnymi obranego przez siebie sposobu wypowiedzenia się...

Podobnie lwowskie T. P. S. P. zamierza urządzić u siebie niebawem wystawę prac Biegasa — co za nowe pole do popisu dla naszych polemistów i krytyków . . . impresjonistów! Zwłaszcza teraz na wiosnę.

A. C.

NOTATKI. *Antoni Bem,* zmarły w 55-tym roku życia, jakto już doniosły dzienniki — w Warszawie, był wybitnym i zasłużonym pracownikiem na niwie literackiej. Twórczość jego była bardzo rozproszoną, różnorodną, pełną porywów i najlepszej woli. Zaczął jako pedagog w gimnazjum kieleckiem wśród stosunków dawnych, prowincjonalnych, — które jego skrzydła łamały. Gdy mu się udało przenieść do Warszawy, rzucił się w wir pracy z niepospolitą ruchliwością i gorączkowością. Cały szereg pełnych zapału ludzi wytwarzał przed 15 laty w syrenim grodzie atmosferę, ktora głęboko i decydująco oddziaływała na umysłowe życie Polski. „Ateneum stało u szczytu rozwoju, — „Przegląd Tygodniowy" zapełniony był jeszcze wtenczas szeregiem wybornych artykułów, — około Chmielowskiego i Pawińskiego, — grupowały się liczne zastępy młodzieży. Bem odżył w tych warunkach, — chociaż konieczność zarabiania na chleb, — pchała go często do dorywczych, na dalszą i trwalszą metę nieobliczonych robót. Pozostało jednak po nim kilkanaście rozpraw z systematycznością i drobiazgowością niemiecką napisanych, które są cennym przyczynkiem do literatury krytycznej. W pierwszym rzędzie stoją doskonale pisane rzeczy o Kondratowiczu, Pługu, Krzysztofie Opalińskim, Towiańskim, Zaleskim i Bełcikowskim. Studjum o „Bolesławie Chrobrym" jest niezłym szkicem historycznym, który późniejsze źródłowe badania w pewnych istotnych punktach zmieniły. Bem przetłumaczył Spasowicza „Dzieje literatury polskiej" uzupełniając je własnemi uwagami i dopełnieniami. Niezwykle popularną była jego gramatyka i „Jak mówić po polsku". Obok podręcznika Kryńskiego jestto najlepszy nowszy podręcznik lingwistyczny.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8